

Luciana Frassati

PIER GIORGIO FRASSATI

**CZŁOWIEK
OŚMIU BŁOGOSŁAWIENSTW**

Wstęp: bp GRZEGORZ RYŚ

Przełożyła
Barbara Sieroszevska

Wydawnictwo WAM

Wstęp do wydania polskiego

Chcę Was gorąco zaprosić do lektury tej pod każdym względem niezwyklej książki o Pier Giorgiu Frassatim – także dlatego, że chcę Wam zaoszczędzić wstydu. Tak, wstydu, jaki sam odczuwam po jej przeczytaniu. Każdemu z nas bowiem wydaje się, że wie coś o Pier Giorgiu: a że młody, że świecki, a że stosunkowo nieodległy w czasie, że kochał góry, a że przystojniak i że... palił fajkę. Na całą tę wiedzę o jednym z popularniejszych świętych składa się... jedno zdjęcie!

Kogo jednak tak naprawdę to zdjęcie przedstawia? Jaki człowiek, jaka osoba kryje się za tą fotografią? Jakie przymioty serca i ducha bohatera sprawiły, że ktoś w ogóle zechciał (musiał?) go sfotografować???

Ta książka w jakiejś mierze również narodziła się ze wstydu. Napisana została przez siostrę Błogosławionego – z samego środka zapewne bolesnego doświadczenia, że „światem”, który w najmniejszym stopniu poznał się na Pier Giorgiu, była jego rodzina. Nie, nie chodzi o to, że jego najbliżsi go nie rozumieli albo że nie dostrzegali jego bardzo szybko ugruntowanych wyborów

i postaw. I je dostrzegali, i rozumieli. I byli nimi w znacznym stopniu... przerażeni.

Ze swoją wiarą Pier Giorgio musiał się z trudem i determinacją przebijać przez „religijność” własnego domu: przez sztywne i ściśle limitowane „praktyki” – obowiązkowe, ale „bez przesady”; przez skamieniałą rutynę, ocierającą się o bigoterię; przez rytuał równie oczywisty, co dziejący się „obok” codziennego życia – kształtowanego i ułożonego przez człowieka po swojemu, bez dopuszczania jakiegokolwiek możliwości ingerencji Boga i zaskakującego powołania („jeszcze, nie daj Bóg, zostanie księdzem!”, „a jeśli żona, to taka, którą wybiorą rodzice!”). A wszystko to „pobłogosławione” przez kilku zaprzyjaźnionych z rodziną księży, gotowych potwierdzić „rozsądnym” kościelnym autorytetem strach – a nawet zakaz – przed pójściem „na całość” w spotkaniu z Bogiem.

Myślę, jak dalece życie Pier Giorgia może stać się natchnieniem dla wszystkich zaangażowanych w wielkie dzieło Nowej Ewangelizacji – dla każdego, kto niezależnie od wieku (czy ma 24, czy 84 lata) i stanu (świecki czy duchowny) poddaje się mocy Ducha i z całym doświadczeniem Jego nowości i miłości *z d e r z a* się z Kościołem, w którym teoretycznie wszystko jest, a który jednak nie działa. Jest w nim bowiem forma, są instytucje, struktury, media, jest szkolna katecheza, hierarchia i prawo; jest codzienna „obsługa wiernych” w biurach parafialnych. Jest również zgoła nieweryfikowane założenie, że wszystko to opiera się na głębokiej wierze osobistej poszczególnych osób. I jest też pragnienie zakonserwowania tego stanu: bez żadnej zmiany

(ewentualnie – niewielkiej w dół), bez podjęcia jakiegokolwiek wyzwania. Sztywna forma – skupiona na sobie, ceniąca bardziej siebie niż tych, którzy z jej powodu odchodzą albo nie wchodzą; „rozsądny” Kościół – łatwo metkujący każdego, kto chciałby „więcej”, mianem radykała, fanatyka czy oszołoma. Do momentu odkrycia, że owa nowość jest bez wątpienia Bożym dziełem. Ale nawet wtedy można ją „beatyfikować” – nie po to wszakże, by dać się jej porwać, ale by ją oswoić i skanalizować, i zatrzymać na ołtarzu!

Pier Giorgio nie jest łatwym świętym – nie we wszystkim i nie dla każdego będzie pociągający i zrozumiały. I nie chodzi tu o tę nieszczęsną fajkę, którą koniecznie trzeba wyretuszować (przynajmniej na oficjalnych zdjęciach), i nie o to, że potrafił w razie potrzeby (albo w obronie honoru) użyć pięści. Nie każdy – myślę – „strawi” jego bezgraniczną uległość wobec matki i ojca, właściwie życie „pod nich”, aż po rezygnację z miłości życia. Ale...

Pier Giorgio fascynuje przede wszystkim tym, jak szybko w życiu wiary – i to właśnie w takim środowisku – odkrył to, co istotne.

To wręcz szokujące, że kilkunastoletni (!) chłopak może tak bezbłędnie trafić w sedno, przebić się, skoncentrować i uchwycić to, co najważniejsze: głęboką, osobistą relację z Jezusem odkrywanym i spotykanym w codziennej Eucharystii i w równie codziennej „komunii” z ubogimi. Ani jedno, ani drugie nie staje się nigdy rutyną i instytucją. Jest spotkaniem (!) z NIM – nie

„praktyką religijną” i nie zbiurokratyzowaną działalnością socjalną.

Jezus: Eucharystia-Miłosierdzie (Caritas)! Wszystko inne ma sens o tyle, o ile ku temu prowadzi!

Ma więc też sens trzeci wymiar duchowości i życia Pier Giorgia, a mianowicie zdolność do budowania i zaangażowania w życie wspólne. Pier Giorgio był człowiekiem wspólnoty, a nawet człowiekiem wspólnot (!) – angażował się w rozmaite obszary życia, nie tylko ściśle eklezjalnego. Myślę, że właśnie tutaj mieści się także jego pasja chodzenia po górach. Góry to przecież nie tylko (ani nie przede wszystkim) miejsce ucieczki od hałasu świata i tak zwanego życia. Góry to wielkie i konkretne doświadczenie bycia razem – na jednym szlaku, czasami na jednej linii, we wzajemnej zależności i zaufaniu.

To ważne przesłanie, powiedziałbym: pre-ewangelizacyjne. W naszym świecie, który stał się blokowiskiem albo ogrodzoną kolonią zatowarowanych jednorodzinnych domków, w świecie, w którym ludzie całymi latami nie tylko nie znają, ale nie mają żadnej potrzeby poznać swoich najbliższych sąsiadów, każda forma sensownej integracji – w „realu”, a nie w „sieci”, we współodpowiedzialności (jak w górach) – jest bezcenna.

Z pełnym przekonaniem zapraszam do lektury książki o Pier Giorgiu Frassatim. Więcej, zapraszam do spotkania z żywą Osobą. W takim spotkaniu – wiemy do brze – wiele może się wydarzyć!

bp Grzegorz Ryś

PRZEDMOWA

Sławni pisarze, jak Papini, La Pira i kardynał Lercaro, pisali przedmowy do książek o Pier Giorgiu Frassatim. Jeśli tę biografię poprzedzam krótkim wstępem, to nie po to, aby dodać książce większej wagi, tylko dlatego, że jestem jednym z niewielu żyjących jeszcze Niemców, którzy znali Frassatiego osobiście; pamięć o nim po pięćdziesięciu latach wciąż w nich żyje. Nie ma też ta przedmowa na celu przytaczania jakichś osobistych wspomnień, które mogłyby być jedynie powtórzeniem czy też potwierdzeniem tego, o czym książka sama, i to lepiej, opowiada. Jeżeli, na przekór należytej skromności, wolno mi przypuszczać, że Czytelnik rozpocznie lekturę od mojej przedmowy, chciałbym udzielić mu pewnych wyjaśnień, które może ułatwią zrozumienie książki.

Aby móc właściwie ocenić życie i postać Frassatiego, wystarczy parę zwięzłych wskazówek. Kiedy powracam myślą do lat po pierwszej wojnie światowej z ich rozlicznymi inicjatywami i ruchami rozwijającymi się na świecie i w Kościele i staram się uprzytomnić sobie, jakie wrażenie zrobił na mnie wówczas Frassati (nim jeszcze

wiedziałem o nim to wszystko, co wiem dzisiaj), muszę przyznać szczerze, że uważałem go za jednego z tych młodych chrześcijan, których w okresie młodzieżowego ruchu katolickiego, kiedy Kościół zbudził się w ludzkich sercach, było wielu. Wrażenie to należy rozumieć w sensie pochwały, a nie chęci pomniejszania: Frassati reprezentował typ młodego chrześcijanina czystego, radosnego, oddanego modlitwie, otwartego na wszystko, co jest wolne i piękne, wrażliwego na problemy społeczne, noszącego w sercu Kościół i jego losy, żywiołowego w sposób pogodny i męski. Tacy młodzi ludzie w pełni zasługują na podziw, także jeżeli jest ich wielu, a wtedy było ich wielu (ale czy jesień, która nadeszła po tej pełnej pięknych obietnic wiosnie, spełniła je godnie?).

Pier Giorgio Frassati był jednak kimś więcej. Czytelnik przekona się o tym, czytając ten jeden ze współczesnych żywotów świętych. Dlaczego kimś więcej? Chciałbym to wytłumaczyć w sposób prosty i jasny. Z pewnością powierzchownemu spojrzeniu wymyka się jego świat wewnętrzny i styl życia. Młodych chrześcijan tego typu było w tym czasie – Bogu dzięki – wielu w Niemczech, Francji, Włoszech.

Jestem jednak przekonany, że tylko nieliczni z tych, którzy pochodzili z liberalnego środowiska zamożnej burżuazji, potrafili stać się tacy jak Pier Giorgio Frassati i nie można składać tego na karb powszechnie znanego mechanizmu psychologicznego, jakim jest bunt dzieci przeciwko rodzicom. Tu właśnie tkwi oryginalność: tego ducha buntu Frassati w sobie nie ma. Jest po prostu chrześcijaninem, a jego kontestacja polega tylko na tym, że jest nim w spo-

sób absolutnie spontaniczny, jak gdyby było to coś spontanicznego i prostego dla wszystkich. Siłę i odwagę bycia takim, jakim jest, czerpie nie z opozycji wobec pokolenia rodziców, nie z jakichś diagnoz czy prognoz kultury swoich czasów, lecz z samej istoty chrześcijaństwa: z niezłomnej pewności, że Bóg istnieje, że tym, co daje nam siłę, jest modlitwa, że sakrament karmi to, co jest w człowieku wieczne, i że wszyscy ludzie są braćmi.

Można by właściwie twierdzić, że praktyczna, wyzuta z romantyzmu natura, inteligencja zaledwie „normalna”, solidność kręgu rodziny włoskiej, a priori uniemożliwiały u Pier Giorgia taki chrystianizm, jaki, rozbudzony po pierwszej wojnie światowej, był jednak zawsze uwarunkowany pewnym cyklem kulturowym. On jednak staje się chrześcijaninem jak najbardziej żywiołowym, katolikiem silnie związanym z Kościołem – co nie znaczy, żeby zgadzał się bez zastrzeżeń ze wszystkimi kościelnymi tradycjami – pełnym apostołskiego zapału, zawsze gotowym nieść konkretną pomoc bliźniemu. Wszystkiego tego nie da się wytłumaczyć ani sytuacją rodzinną (świadczy o tym w sugestywny sposób niniejsza książka), ani ówczesną sytuacją kulturową i religijną (mimo obecności w jego życiu ludzi takich jak Sonnenschein, ks. Sturzo i inni). Tutaj wyczuwa się w jakiś tajemny sposób, że Łaska nie jest czymś, co da się logicznie wydedukować: oto w środowisku, które skłaniało raczej do poglądu, że takie rzeczy należą do przeszłości, nagle pojawia się chrześcijanin. I oto on, radosny, nie zrywając ze swym otoczeniem jak ktoś, kto za wszelką cenę chce być odeń inny, staje się – cóż za symbol! – rozjemcą, usiłującym godzić sprzeczności w ży-

ciu swoich rodziców. Czyż więc przesadzam, twierdząc, że również i w tamtym okresie tacy ludzie byli rzadkością?

Chciałbym pokrótce zwrócić uwagę Czytelnika na fakt, że w tym okresie wszystkich nas interesowały problemy społeczne, było to zrozumiałe. Ale u Pier Giorgia zaangażowanie społeczne, miłość do skrzywdzonych, poczucie odpowiedzialności za cudzą biedę były (czy też stały się?) tak prawdziwe, głębokie, ożywione tak silnym duchem ofiary, że uczyniły z niego postać zupełnie wyjątkową wśród ówczesnych młodych chrześcijan. W tamtych czasach wielu, Bogu dzięki, brało po trosze udział w działalności Konferencji św. Wincentego; ale niewielu znalazłoby się takich, którzy wśród cierpień nieuleczalnej choroby, w obliczu bliskiej śmierci, nie zapominaliby o obowiązkach wobec biedaków. W czasie ostatnich miesięcy w różnych okolicznościach, które Czytelnik z łatwością dostrzeże, życie Pier Giorgia, tak bogate, pogodne, niemal beztrosko wesołe (mimo wszelkich problemów rodzinnych), spędzane na koniu, na nartach, w górach, na lekturze Dantego i innych poetów, w towarzystwie przyjaciół, chłopców i dziewcząt, wśród śpiewu, gorących dyskusji politycznych, zatargów z policją i wielu innych rzeczy związanych raczej z życiem „złotej młodzieży” (opowiadał o tym wszystkim z entuzjazmem, pokazując fotografie), nabiera nagle takiej głębi i powagi płynącej z absolutnej wiary w Boga i w życie wieczne, że musi to poruszyć serca.

Nie każdego Bóg obdarza łaską śmierci w młodzieńcych latach, kiedy wszystko jest jeszcze obietnicą poranka, nieskalaną zapowiedzią. I nie każda przedwczesna

śmierć jest tego początku spełnieniem. Ale tu została ona zaakceptowana. Krzyż Pański, ukazywany jako groźba, został ujęty w ramiona, a śmierć przyjęta z pogodą. Nie należy jednak sądzić, że obraz tego życia był jedynie dziełem melancholijnej zdolności przekształcania, jaką wzbudza w młodym człowieku świadomość przedwczesnej śmierci. To, co wiemy, nie upoważnia nas jeszcze do roszczenia sobie prawa do wydawania sądów, bowiem stoimy wobec człowieka, który przeżywał swój chrystianizm w sposób tak naturalny, że aż niemal budzący lęk, z brakiem wątpliwości tak absolutnym, że aż zaskakującym (w rzeczywistości on swoje problemy zatapiał, może płacząc, w łasce wiary): modląc się, spożywając Chleb Życia, kochając bliźniego. I niech nas nie razi fakt, że kiedy starał się wypowiedzieć to, co miał w sobie, czynił to utartymi zdaniem tradycyjnej pobożności. Bo i te słowa, odczytane we właściwym świetle, stają się nowe.

W ciągu pół wieku wiele rzeczy się zmieniło. Ale właśnie dlatego, mimo nieuniknionych przemian w stylu życia, to, co tu zostało opisane, jest w gruncie rzeczy po prostu młodym życiem chrześcijańskim; książka ta, mówiąca o drodze do doskonałości wiary, drodze sprzed lat pięćdziesięciu, zasługuje dziś jeszcze na to, by ją czytać i zamyślać się nad nią. Wielu jest chrześcijan i wielu takich, którzy z łaski Boga w bohaterski sposób dali świadectwo swej wierze – jak mówi Kościół, choć takie pojęcie samo w sobie nie jest bardzo chrześcijańskie. Ale takich przykładów nigdy nie mamy dosyć. Żaden z nich nie jest zjawiskiem naturalnym – zawsze okazuje się cudem sprawionym przez łaskę Bożą.

Jeżeli Czytelnik weźmie do rąk tę książkę przychylnie do niej nastawiony, znajdzie w niej takiego właśnie bohaterskiego chrześcijanina. Niech więc wzniesie hymn do Łaski i prosi Pier Giorgia Frassatego, aby wstawił się u Boga za niego i za nas wszystkich.

Karl Rahner

Dnia 1 października 1921 r. Pier Giorgia, wprowadzony przez znanego duchownego Carla Sonnenscheina¹ – starego przyjaciela, zwanego berlińskim św. Franciszkiem – stał się gościem rodziny Rahnerów, do której siedmiorga dzieci zaliczali się Hugo i Karl. Mój brat przeżył tam „niezapomniane dni”, zawdzięczając to przede wszystkim serdecznej życzliwości i zrozumieniu ze strony Luise Rahner², która obchodziła w tym czasie swoje srebrne wesele: od pierwszej chwili wychwyciła światło wewnętrzne Pier Giorgia i ujęła ją jego szczerą prostotą.

Biografowie Karla Rahnera, który w 1922 r. wstąpił do Towarzystwa Jezusowego, rozpoczynają opowieść o życiu wielkiego teologa słowami: „Głęboki wpływ wywarł na niego młody włoski student, o trzy lata od

¹ Carl Sonnenschein (1876–1929) – ks., socjolog, organizator katolickiego ruchu społecznego w Niemczech, utrzymywał bliskie stosunki z katolickimi ruchami społecznymi we Włoszech. W 1907 r. założył „Sekretariat Sozialer Studentenarbeit”. Redagował czasopismo „Das Katholische Kirchenblatt für Berlin” [przyp. wyd.].

² Luise Rahner (1875–1976) – matka wybitnego niemieckiego teologa Karla Rahnera (1904–1984) [przyp. wyd.].

niego starszy, który zmarł w 1925 r. na poliomyelitis³, *in odore sanctitatis*: Pier Giorgio Frassati, tercjarz dominikański, żarliwy zwolennik codziennej komunii św., apostoł świata studenckiego w walce z przestarzałym systemem antyklerykalnego sekciarstwa i z rodzącym się faszyzmem, przepełniony nieustającym czynnym miłosierdziem w stosunku do ubogich” (*Théologiens et Spirituels Contemporains*, pióra Charlesa Müllera i Herberta Vorgrimlera, Editions Fleurus).

³ Choroba Heinego-Medina.

I

Korzenie

Może się wydawać przesadne czy wręcz ryzykowne twierdzenie, że na dziejach rodziny nieprzeciętnej, jak rodzina Frassatich, przez długie lata ciążył dom.

A jednak to prawda. Na nasze życie duży wpływ wywarła willa zbudowana u podnóża Mucrone, pierwszej góry z całego pasma, które biegnąc od okręgu Biella, gubi się w Dolinie Aosty. Z wysokich okien i rozległych tarasów wzrok obejmuje ogromną przestrzeń, ciągnącą się na południu od Monviso wzdłuż gór Giovi, aż po odgadywaną raczej niż widzianą drogę do Mediolanu.

Dom zbudował w Pollone w 1875 r. nasz dziadek ze strony matki, Francesco Ametis, za oszczędności z lat przepracowanych w Peru, i otoczył go obszernym uroczystym ogrodem, tak monotonnym, że aż zaskakujące wydawały się w nim te nieliczne drzewka, które sadił co roku nasz ojciec, Alfredo Frassati.

Ojciec był rodem z Pollone, choć lato spędzał zwykle w pobliskiej miejscowości Cossila; ze skromnego domu matki wędrował do domu swoich starych ciotek, po drodze często wstępował do kuzynów Ametis, żeby

poszukać wzrokiem twarzy Adelaidy, i czasem zatrzymywał się trochę dłużej w ogromnej sieni, nigdy jednak nie przeniknął utajonego ducha tych murów i wyrazu twarzy osób, które tam spotykał. Jego wyobraźnia koncentrowała się wyłącznie na jednej z nich. I oto 8 września 1898 r. Alfredo wszedł do willi Ametis jako nowo zaślubiony mąż Adelaidy.

Później przez całe życie starał się wpoić przyjaciółom miłość do tej pięknej siedziby, do długich spacerów w góry, narzucając im własny entuzjazm do ostrych podejść i zejść, zachwyt nad krajobrazem dodającym uroku temu domowi, który stanowił jedyne dobro materialne nabyte przez małżeństwo. Ojciec czuł się tu jednak zawsze raczej gościem niż gospodarzem, chociaż trwały dobrobyt rodziny był jego prawie wyłączną zasługą.

Jego ojciec, Pietro Frassati z Occhieppo, pracował jako lekarz w Cossili, zmarł w 1899 r. Na fotografiach pogodnie wygląda twarz ozdobiona niedużą bródką zgodnie z ówczesną modą, z głębokim spojrzeniem czarnych oczu spod wysokiego czoła. Jego miłość do żony, Giuseppiny Coda-Canati, nie znała może wielkich uniesień, ale ich współżycie wzbogacała zgodna współpraca przy wychowaniu dzieci i wspólna troska o ich losy. Świadczy o tym pełna ufności ofiara złożona przez matkę, która całe swoje dziedzictwo oddała do dyspozycji Alfredowi, aby mógł, zakupując w całości „Gazzetta Piemontese”, stworzyć własne pismo „La Stampa”.

Babcia Giuseppina witała radośnie każde nasze odwiedziny, moje i Pier Giorgia, jakby nasze hałaśliwe

przybycie przywracało ją do rzeczywistości, wyrывая ją z zadumy. Ponieważ interesowało ją wszystko, co się dzieje w rodzinie, kobiety z domu Ametis zarzucały jej, że „się wtrąca”, jak gdyby Alfredo nie był jej synem, a my jej wnukami, i kazały mojemu bratu i mnie odpowiadać na wszystkie pytania babci: „Nie wiem”. My, w przekonaniu, że w ten sposób bronimy „sprawy domu Ametis”, nigdy nie łamaliśmy tego absurdalnego zakazu, tak że babcia, właśnie wtedy, kiedy miałaby ochotę pogawędzić, musiała milknąć.

Nie ciągnęła z pozycji Alfreda żadnych korzyści; tylko w ostatnich latach życia, kiedy miała jechać na wieś, używała czasem samochodu. Biedna babcia! Z pewnością chciała jak najlepiej dla swoich dzieci. Wierzyliśmy, że jest trochę pomyłona, i bawiło nas opowiadanie jej niestworzonych historii o niezwykłych wizytach, przebytych niebezpieczeństwach, fantastycznych przygodach, a ona, chcąc nam zrobić przyjemność, udawała, że wierzy. Jej synowie, Pietro i młodszy o sześć lat Alfredo, byli przy niej zawsze milczący. Prześliczna córka Emma zmarła tragicznie, mając lat dziewiętnaście.

Po tym nieszczęściu pierworodny syn wpadł nagle w stan mizantropii. Od czasu do czasu, kiedy się otwierał, przewyższał nawet głębokością swego umysłu brata, który koniecznie chciał go mieć przy sobie jako administratora „La Stampy”. Pietro zrezygnował z dotychczasowej pracy inżyniera-architekta i pracował w administracji dziennika aż do śmierci.

Kariera Alfreda Frassatiego była szybka i pomyślna. Prosty, wytrwały, apodyktyczny jak wielu spośród tak

zwanych liberałów piemonckich, przystojny, obdarzony wspaniałym zdrowiem, oszczędny, ale łakomy na niektóre proste ulubione potrawy, w pewnych okolicznościach słaby, zdecydowany w innych, w głębi duszy trochę romantyk, podchodził do życia z energią, traktując je jak problem do rozwiązania, również w sensie ekonomicznym. Był to człowiek mocny, zdolny udźwignąć każdą odpowiedzialność i doprowadzić do końca to, do czego się zobowiązał. Chociaż podziwiał Giolittiego¹, bez wahania wypowiadał poglądy sprzeczne z polityką przyjaciela, który w 1913 r. wprowadził go do senatu jako pierwszego dziennikarza i najmłodszego senatora. W 1920 r. zaproponował mu ambasadę w Londynie albo w Berlinie: Alfredo wybrał tę drugą, bo właśnie w Niemczech ukończył wyższe studia i znał dobrze język.

Ale w 1926 r. przyszedł kres wytrwale prowadzonej od młodych lat pracy: bezwzględny rozkaz faszystowskiego rządu zmusił go do odsprzedania za śmieszłą cenę całego koncernu wydawniczego „La Stampa”.

Jednostajność jałowego, sztywnego świata pań Ametis przerywał jedynie śpiew dziadka Francesca; nigdy jednak nie zrozumiały zawartego w nim wezwania do harmonii w życiu.

Wysoki, chudy, o żywej, wyrazistej twarzy, dziadek walczył jako ochotnik w wojnie krymskiej; później, porzuciwszy skromną pracę aptekarza, przeprawił się przez Atlantyk szukać szczęścia w Ameryce. Był przedsiębior-

¹ Giovanni Giolitti (1842–1928) – wielki mąż stanu i przez długie lata premier Włoch.

czy i udało mu się wrócić do rodzinnego miasteczka ze znaczną gotówką, co pozwoliło mu wybudować „godną” willę, na której dachu widywało się go nieraz w murarskiej odzieży. Spędzał całe dni wśród chłopów, w ochronce i w szkołach Pollone, zajęty sprawami, jakie narzucały mu rozmaite obowiązki społeczne; jeżeli ktoś potrzebował pożyczki na budowę domu albo powiększenie gospodarstwa, zawsze dobry „Monssù Chicco” przychodził z pomocą; kiedy zabrakło wody, poszkodowani zwracali się również do niego.

Jego żona, Linda Copello, z dobrej rodziny, wychowana w tak pełnym życia i aktywnym mieście jak Genua, nie zdołała przywyknąć do życia w okręgu Pollone. Czternaście lat ciężkiego życia „w spodniach”, jakie spędziła z bratem Enrico – inżynierem w Fourneaux, gdzie górnicy z Fréjus nazywali ją „Le petit monsieur” – nie wystarczyło, żeby zaakceptowała wewnętrzne życie tak daleko od morza, w pobliżu gór, których nie lubiła; trwała tam w jakimś otępieniu, duchowym zastoju, oporna, nawet jeśli pieniędzy było dużo, wobec choćby najdrobniejszej zbędnej rozrywki. Wychodząc za męża, miała lat dwadzieścia osiem i choć nauczyła się posługiwać miejscowym dialektem, nadal czuła się Liguryjką.

Od czasu zamążpójścia córki Adelaidy babcia Linda, ilekroć chciała zganić jakiś *non plus ultra* nieporządek, zamykała swój sąd w dwóch słowach: „Dom Frasatich”; zgrozą przejmował ją widok dzieci turlających się po dywanach i nienoszących fartuszków.

Była religijna, a pobożność spotęgowała się w niej jeszcze po śmierci siostry Racheli, istoty wręcz anielskiej

dobroci; może w niej właśnie należy szukać korzeni dobroci Pier Giorgia. Co wieczór babcia modliła się długo za wszystkich swoich zmarłych, nie zapominając nawet o najdalszych; zmarli bardziej niż żyjący zapełniali jej wyobraźnię, była do nich bardziej przywiązana. Jakby po to, żeby się do nich jeszcze więcej przybliżyć, w 1914 r. utraciła pamięć spraw bieżących, co przynajmniej mnie przyniosło pewną korzyść; utrudniało jej to bowiem ciągle donoszenie mamie o moich wykroczeniach, a tym samym oszczędzało mi zwiększonej porcji klapsów.

Druga jej córka, Elena, wniosła pewną poprawę w gospodarkę naszego domu: była miła i spokojna, dokładna, skromna, szara jak okładki jej niezmiennych lektur, książek wydawnictwa Tauchnitza. Nasza edukacja uwarunkowana była jej nieustanną obecnością, zastępowała w tej dziedzinie naszą matkę, która niechętnie zajmowała się sprawami domowymi. Ubrana starannie, choć z wielką prostotą, ciotka Elena była jedyną w rodzinie kobietą, która używała odrobiny perfum i mleczka kosmetycznego. Rzecz zwykła u każdej kobiety, stanowiła jednak rażący wyłom w żelaznej regule domu Ametis: „Kobiety powinny pokazywać ludziom taką twarz, z jaką się urodziły”, co Adelaida interpretowała po swojemu, twierdząc, że „kobieta piękna to taka, co nawet jak ją złapią za włosy i zanurzą w wodzie, to będzie piękna i tak”.

Elena przyjęła bez sprzeciwu los, jaki jej przypadł – życie w cieniu swojej siostry. Jej najmiłą rozrywką było stawianie pasjansów albo odpoczynek z książką w ręku, w fotelu na biegunach. Nie zaprzętała jej też

wcale myśl o śmierci; nigdy żadnego życzenia, żadnej wzmianki w testamencie.

Adelaida, obdarzona żywszym umysłem, twarda w swoich nagłych reakcjach, miała twarz zdecydowaną, nos orli i szare oczy wyrażające silną wolę. Żywiła duże ambicje w dziedzinie malarstwa, znajdowała w nim pewną rekompensatę za rozczarowanie w małżeństwie. Spędzała całe popołudnia w pracowni malarza Alberta Falchettiiego i choć nie zdobyła sławy, jej prace świadczą o nieprzeciętnych zdolnościach.

Wspominanie tych dawno minionych czasów jest bolesne, odczuwam je jako zmarnowane okazje do zaznania macierzyńskiej miłości. Z żalem myślę zarówno o okresach spędzonych w Pollone, jak i w naszym domu w Turynie, gdzie zimy upływały nam w niemożności ucieczki od widoku tych samych twarzy, w ograniczonej przestrzeni pokoi i monotonnych ulic. Zabronione nam były spokojne spacerowanie po mieście, przystawanie przed kioskami i witrynami sklepów, zaspokajanie jakiejś najniewinniejszej ciekawości. Musieliśmy chodzić szybko, patrząc prosto przed siebie; wpoilo nam to pośpiech i gorliwość, ale były to cechy narzucone, wdrożone pod przymusem. W tamtych latach przedmiotem naszych marzeń była siedziba dziennika „La Stampa”; zaciszne schronienie, które jednak dzień po dniu, minuta po minucie okradało rodzinę z obecności ojca.

„La Stampa” wyobrażała, dla mnie przynajmniej, sławę naszego ojca, jego prywatne królestwo, niezależnie od domu w Pollone, który pozostał zawsze i wyłącznie domem rodziny Ametis.

Spis treści

<i>Wstęp do wydania polskiego bp Grzegorz Ryś</i>	<i>7</i>
<i>Przedmowa Karl Rahner</i>	<i>11</i>
I. Korzenie	19
II. „Czy Jezus był sierotą?”	26
III. Pierwsze „tragedie”	31
IV. Bezowocne lekcje	38
V. Senatorski synek	45
VI. W szkole jezuitów	52
VII. Zwolennik neutralności	60
VIII. „Wróg” Cadorna	65
IX. Wielki dzień	73
X. Walki społeczne w 1919	78
XI. Smutne spotkania rodzinne	93
XII. W Niemczech	109
XIII. Marsz na Rzym	123
XIV. „Moim wzorem jest Savonarola”	130
XV. „Wierzę...”	141
XVI. Przyjaźń	149
XVII. Styczeń 1925	176
XVIII. Luty	183

XIX. Marzec	191
XX. Kwiecień	198
XXI. Maj	202
XXII. Czerwiec	206
XXIII. Lipiec 1925	211